

Jerzy Binkowski*

Żyjąc, myślałem o życiu. Zmiany w moim małym miasteczku

Żółw nosi swój dom na plecach. Rozwija się w rytmie swych kroków. Konik polny rozwija się w rytmie swoich skoków. Koń rasy sokólskiej imponuje wyglądem: masywny, niezwykle pięknie zbudowany – głowa o prostym profilu, duże łagodne oczy i czujne uszy, szyja dość długa, muskularna i szeroka u podstawy, łopatki dobrze uformowane i skośnie ustawione, głęboka klatka piersiowa, wydatny kłęb, prosty grzbiet, opadający skośnie muskularny zad, mocne nogi i twarde kopyta. To wszechstronne, silne, wytrzymałe zwierzę o spokojnym usposobieniu nadaje się do pracy w zaprzęgu i w polu. Właśnie takim pragnąłem być.

1

Introspekcja jest nieco zaniedbaną metodą naukową. Powiem więcej: nie jest metodą naukową. I właśnie dlatego wzbudza moją nadzieję, że wykorzystując tę zdegradowaną współcześnie metodę badania i opisu rzeczywistości małego miasteczka we mnie, ominę zobowiązania do formułowania statystycznych prawd i reguł, a w ten sposób nabędę u czytelnika prawo pisania o mieszkańcu i zmianach, które następowały w sercu i głowie jedyne go mieszkańca bardzo małego „miasteczka” o nazwie „Jerzy Binkowski”.

* Jerzy Binkowski, absolwent psychologii KUL, autor wielu artykułów o wychowaniu, poeta, Stowarzyszenie Pisarzy Polskich.

Usłyszałem kiedyś: „Každy umiera sam”. Nie sprawdziłem tego dotychczas. Zastanawiam się, czy mam podstawy do powiedzenia, że każdy żyje sam. Chyba nie. Z pewnością – nie? Od dawna, od niepamięci żyję w do szaleństwa szczęśliwym świecie: od 75 lat nie dotknęło mnie poczucie absurdu. Żyłem otoczony jakąś wielką TAJEMNICĄ, która tworzyła aurę spełniania się czegoś wielkiego, choć absolutnie pozarozumowego. Zawdzięczam tę szczęśliwość kulturze religijnej rodziców, dziadków, pradziadków; w naturalny sposób wskazali mi drogę do odpowiedzi na podstawowe pytanie egzystencjalne „DI TI?” Dzięki Bogu, że dowiedziałem się poprzez zasady i styl funkcjonowania na co dzień w rodzinnym gnieździe, że istniejemy, żyjemy i umieramy dzięki Bogu, oraz to, że żyjemy dla życia.

Jako dziesięcioletni chłopiec doświadczyłem chwili grozy, lęku przed śmiercią. Szlochałem. Rozpaczałem, uderzałem głową w ścianę. Usłyszałem pocieszenie: „Płaczesz, ale gdy będziesz starym człowiekiem, sam będziesz chciał umrzeć”.

Nie wiem, jak i skąd pojawiło się we mnie pragnienie, aby żyć w posłuszeństwie wobec zasad życia rodziców, Babci Marianny, Babci Witali, Stryja – Księdza Edmunda Binkowskiego w Rzadkowie (skraj Wielkopolski). Prawdopodobnie ważną rolę w rozbudzeniu tego pragnienia odegrał właśnie stryj – wzbudzał mój zachwyty, podziw. Zapragnąłem być podobny do niego. Pięknie śpiewał podczas Mszy św. i nieskończonej ilości innych nabożeństw. Kazania mówił tak żarliwie, że nawet ja rozumiałem, iż sensem życia człowieka jest być dobrym człowiekiem. Podczas Mszy św. zlecał czytania, a ja bez lęku i bezkrytycznie spełniałem zlecane funkcje, nie tylko ministranta, lecz i obowiązki „kościelnego”. Tak było w czasie corocznych dwumiesięcznych wakacji w Rzadkowie. Kochałem świat, w którym żyłem i miałem poczucie bycia kochanym, pomimo że posłusznym bywałem dość

krótko, zazwyczaj po kolejnych comiesięcznych rozliczeniach sumienia w konfesjonale.

Mama i tato wprowadzali we mnie podstawowy porządek, którego prawdopodobnym owocem było spostrzeganie mnie jako chłopca pogodnego, rozważnego i życzliwego. Moje chłopięctwo usłane było płatkami kwiatów, gdy w białej komży, z dzwonekami w rękach szedłem za Bogiem ukrytym pod słonecznym baldachimem nieba, w procesjach Bożego Ciała.

Lubiłem przebywać w szkole. Dziwiłem się, że koledzy i ja już umiemy pisać, liczyć i czytać. Bardzo lubiłem czytać. Był czas, gdy księży i religię usunięto z programu szkoły, więc całą uśmiechniętą bandą-klasą chodziliśmy na religię do naszego kościoła pw. św. Andrzeja Boboli.

W czwartej klasie lubiłem rozmawiać z Wiesią Olejniczak, Basią Ledóchowską czy Zytą Poleską. Można by powiedzieć, że przyglądałem się im uważnie. Bardziej mnie zaciekawiały niż moje siostry, Wandzia i Marylka, z którymi w domu rywalizowałem, także o miejsce przy stole i o „sprawiedliwość” rodzicielską, gdy kończyliśmy obiad otrzymując po kubeczku kisielu.

W klasie piątej dowiedziałem się, że wicemistrz Polski (1958) w zapasach w stylu klasycznym – Franciszek Zorn (Flota Gdynia) – zaczyna prowadzić treningi z grupą „młodzików”. Imponował mi ten zręczny, szybki i mocno zbudowany mężczyzna. Świat pozalekcyjny zamknął się w marzeniach o zwycięskich walkach zapaśniczych w stylu starożytnych Greków, na matach wszechświata. Jakżem ja trenował, wywijał przewrotki z ciężkim manekinem, ćwiczył rzut przez biodro. Wytrzymawałem nacisk na kark, by „mostkiem” obronić się przed przegraną, aby przeciwnik nie położył mnie na łopatki. Wczesnym porankiem wybiegałem z domu przed lekcjami, by choćby pół godziny wzmacniać kondycję, prowokując głębokie i pełne żywiołowej radości oddychanie. Kondycja

i wytrzymałość potrzebne są w walce! Pragnąłem być zwycięski. Walkę o jakość sportowej formy spostrzegam jak przełom w życiu duchowym. Przeżyłem rodzaj olśnienia. Mogę chcieć. Mogę wybierać. Miałem 13 lat. Najgłębszym jednak przeżyciem stawała się nadzieja, że będę Kimś. Nie wiedziałem, kim chcę być, ale chciałem być Kimś. W teatrze szkolnym zagrałem Kreona w „Antygonie”.

Te epizody z życia przyszłego „Małego Miasteczka”, co zaczynało żyć marzeniami o byciu „Kimś”, nie służą epatowaniu jakimiś szczególnymi wydarzeniami. Nie mam tezy, którą chcę udowodnić, a jedynie intuicję, że radość bycia niepowtarzalnym oraz odmiennym od każdego spotkanego człowieka jest wartością dodaną do naturalnej szczęśliwości i dynamiki młodego człowieka. W moim „małym miasteczku” zamieszkiwało coraz więcej osób. Coraz więcej relacji rodziło się spontanicznie lub umierało. Zmarł szesnastoletni Henio Dobrzyński, najlepszy piłkarz wśród młodzieżówki piłkarskiej dzielnicy Gdynia-Obłuze. Był przywódcą z naszego wyboru. Uczyliśmy się od niego techniki gry i strategii wygrywania w różnych okolicznościach boiskowych.

2

Trudno pominąć fakt, że duży mętlik mieszkał w sercu mego „miasteczka” w okresie dorastania. Budzące się do życia ciało, fantastycznie czuła praca wyobraźni, oczekiwanie wielkiej miłości i pragnienie sprostania wymogom DEKALOGU zrodziły potężne poczucie winy. Ascetyczny, więc zgodny z przykazaniami tryb życia zapewniało kapłaństwo. Lecz niepokoiło mnie poczucie, że nie sprodam zadaniom, które mężczyźni stawia Kościół – celibat. Gdybym wówczas znalazł odważnego i bogobojnego mężczyznę-kapłana, który by otworzył przede mną perspektywę tworzenia harmonii między fizycznością ciała a duchowością Kapłana, pewnie

zaczęlbym przygotowywać się do wstąpienia po maturze do Seminarium.

Dzisiaj wiem, że był to początek studiów nad psychologią mężczyzny indywidualnego. Były to studia fascynujące. Obejmowały dojrzewanie ciała i serca w konkretnym ciele, w moich mięśniach, zmysłach, mózgu w konkretnej głowie, wśród szczegółów kodu genetycznego – antropologii, genealogii antenatów. To wszystko tworzyło coś, co od zara-
nia otrzymałem od Stwórcy – Duszę Cierpliwą i Ciało Niecierpliwe. Nie zdawałem sobie sprawy, jak ogromna praca przede mną, ale wkraczałem w tę nieznaną przestrzeń z zaskakującą, gdy dziś patrzę, odwagą, zadziwiającą mnie naturalnością. Mógłbym powiedzieć, że była to odwaga trochę bezmyślna. Robiłem coś tak, jakbym musiał TO zrobić, a zdarzenia następowały popychane moją zachłannością. Byłem zanurzony w poczuciu szczęścia. Nie, to nie była praca. To było wszechogarniające, bez jakiegokolwiek kalkulacji, płynące we mnie poczucie szczęśliwego spełniania się. Uwielbiałem, może by tak rzec, czytać, robić notatki (fiszki), przebywać samotnie w bibliotekach.

Jak udało mi się spacyfikować grupę agresywnych chłopaków z Oksywia – nie wiem. Ale samoobronne i uprzedzające uderzenie pięścią w twarz prowodyra umożliwiło odwrót „strategiczny” – ucieczkę przerażonego kilkunastoletka do miejsca, gdzie mieszkał milicjant „dzielnicowy”. Wspominam ten „sukces” jako nie moją zasługę. Działiałem całkowicie intuicyjnie, całym sobą. Nie było we mnie podziału na ciało i duszę. Byliśmy absolutnie razem, w strachu, w drzeniu.

Albo gdy nowo przybyły uczeń II Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Mickiewicza – ja – pojawił się w dzielnicy wokół ulicy Wolności i został przywitany ciosem w twarz przez znanego w okolicy łobuza, szefa okolicznego gangu. Krew, złamana chrząstka nosa, drwiny

niektórych kolegów z nowej klasy, sprawa sądowa i ja w roli pokrzywdzonego, z tatą, który był moim oparciem.

Albo gdy ustalaliśmy na początku pierwszej klasy licealnej porządek „dziobania”, gdy jeden spośród najsilniejszych, poznających się chłopaków, usiłował ustalić ten „porządek” i zaczął mnie szarpać. Wiedziałem, że muszę go oderwać od ziemi. Był duży, ciężki, zwałisty. Objąłem go w pasie, poderwałem i tzw. przerzutką położyłem na łopatkach, aż podłoga zadrzała. Gdzie była dusza i jak reagowało moje ciało, dotychczas nie ustaliłem. Pewnie jednak z ciałem i duszą byliśmy wtedy bardzo razem.

Dyskretnie i na całe życie zawiązałem przyjaźń z najlepszym matematykiem w klasie – Maciejem Głowackim. Mając 14 lat – pierwsza klasa liceum – podszedłem do szczupłego blondyna, wyciągnąłem ku niemu dłoń i powiedziałem: „Chcę być Twoim przyjacielem”. Dziesięć lat później poprosiłem go, aby był świadkiem zaślubin z Kobietą, którą do dzisiaj całuję na dobranoc. Po pięćdziesięciu latach my – Janina i Jerzy Binkowscy, zaprosiliśmy Macieja na jubileusz „złych godów”.

Wspomnę zakochanie w wychowawczyni, nauczycielce chemii, Pani Danucie Lenarcik. Epizod ów jest jednym z tych, które już wtedy rozpoznawałem jako podstawowe problemy filozoficzno-teologiczno-egzystencjalne: gdzie jest ciało i dusza, gdy człowieka ogarnia coś, co jest gotów nazwać zakochaniem. Byłem tak zapatrzony w skupienie, życzliwość i łagodność nauczycielki, że przez cztery lata chodziłem na eksperymenty i ćwiczenia „kółka chemicznego”, a chemię wybrałem jako przedmiot egzaminu maturalnego. W tej relacji nie istniało moje ciało. Ono tylko umieszczało się tam, gdzie zwiększało się prawdopodobieństwo, że będę mógł ją słyszeć, patrzeć na nią... i odwrotnie. Wystarczało mi patrzeć i słyszenie.

Prawdopodobnie Pani Danuta Lenarcik przeprowadziła mnie przez potwory Charybdy i Scylli – matematyki i fizyki. Wytłumaczyła koleżankom od tych przedmiotów, że to „małe miasteczko” – uczeń Jerzy Binkowski jest pozbawiony talentów fizyko-matematycznych, a przyszłość swą będzie budował jako humanista.

Za niepowodzenia w zakresie przedmiotów „ściśłych” w dziesiątej klasie zapłaciła moja dusza i ciało kilkutygodniowym smutkiem i niekiedy płaczem bezradności. Młodzieńcza depresja? Pewnego dnia, gdy stałem na korytarzu przy oknie podczas przerwy międzylekcyjnej, podeszła do mnie nauczycielka historii – Pani Maria Sobieniecka – stanęła obok mnie, wpatzonego w przestrzeń dużych sosen okolicznego lasu na ukośnym stoku wzgórza. Chyba mnie dyskretnie pogłaskała (a na pewno położyła dłoń na ramieniu) i powiedziała: „Ty należysz do takich osób, które będą twórcze i szczęśliwe, gdy będziesz studiował te dziedziny nauki, które pokochasz”. Czy była Aniołem? Jej słowa dodały mi ducha. Wtedy nie znałem przeszłości „Anioła”, który odnowił w moim sercu zasoby nadziei.

Po kilkudziesięciu latach przeczytałem w Internecie nekrolog:

ś.p. Maria Sobieniecka pseudonim „Ziuta” – Sanitariuszka, Żołnierz Powstania Warszawskiego Batalionu „Czata 49” zgrupowania „Radosław”. Odznaczona Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, Warszawskim Krzyżem Powstańcym, Krzyżem AK, Złotym Medalem za zasługi dla Obronności Kraju.

*

Skończył 18 lat. Ze swoim przywiezionym „małym miasteczkiem” na karku, wtedy już wyraźnie zamieszkałym, wszedł bramą z napisem DEO et PATRIA. Pragnął doświadczyć

wszystkiego, co było możliwe. Przyjechał do Lublina z poczuciem, że chce więcej, najwięcej. Studiował dwa kierunki: na Wydziale Nauk Humanistycznych - Historia i na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej – specjalizacja filozoficzno-psychologiczna Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Śpiewał w Chórze Akademickim. Wstąpił do Teatru Akademickiego. Największą kreacją był tytułowy „Hiob” w sztuce A. MacLeisha. Reprezentował KUL w zawodach lekkoatletycznych w biegu na 400 m i skoku w dal. Zaangażował się w organizację uroczystości jubileuszowych 50-lecia swojej Alma Mater (1918-1968). Aresztowany za próbę obalenia ustroju PRL, po marcu 1968. Polak. Katolik. BÓG i OJCZY-ZNA – tak brzmiało hasło Uczelni.

*

Kończę ilustrowanie mego oporu przed nadmiernym akcentowaniem naukowości psychologii poprzez akcentowanie badań opartych na statystyce. Autobiograficzne epizody służą do naszkicowania faktu, że nie ma w świecie drugiej osoby o identycznym, czy tylko zbliżonym profilu doświadczeń i można mieć pewność, że dalsze etapy życia urzeczywistnią kogoś, o którym ten Ktoś, mimo uruchomienia coraz większych i głębszych sprawności, nie mógł mieć i nie miał zielonego pojęcia. Kim będzie? Gdzie się znajdzie? Istnieje tajemnica dynamiki życiowej i losów w kolejnych fazach życia, nieustannie zmiennych, płynnych. Dobroczynna niepewność? Poszukiwanie siebie?

„Małe miasteczko” – Jerzy Binkowski, do którego ktokolwiek chciał wjechać, musiał się liczyć z topografią tego miejsca, specyfiką architektury, rozkładem ulic, z siecią gastronomiczną i komunikacyjną, z warunkami „atmosferycznymi” – pogodą – panującą najczęściej w tym „miasteczku”. Jedynym i niepowtarzalnym.

3

Rozmowa Jerzego Binkowskiego ze znanym mu psychologiem, Jerzym Binkowskim

- Znamy się od lat. Z niejednego pieca smakowałeś chleb, podróżowałeś, studiowałeś na kilku uczelniach, w tym w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej. Pracowałeś jako psycholog w szkołach, szpitalach psychiatrycznych, prowadziłeś warsztaty w kilku akademiach. Szanujesz subiektywność swoją i konkretnych osób, odzegnujesz się od statystyki i „naukowych” schematów badawczych. A że mamy już swoje lata, to chyba warto, byś podzielił się z innymi swoimi refleksjami, spostrzeżeniami.

PSYCHOLOG: Hm... Przez dziesiątki lat pracy wchodziłem do pomieszczenia z wywieszką na drzwiach: „Psycholog”. Wchodziłem tam przede wszystkim jako człowiek, osoba, mężczyzna. Pracując w szkołach średnich, dołączałem kartkę, na której pisałem: „Teoria jest wtedy, kiedy wiemy wszystko, a nic nie działa. Praktyka jest wtedy, kiedy wszystko działa, a nikt nie wie, dlaczego. W tym pokoju łączę teorię z praktyką: NIC NIE DZIAŁA I NIKT NIE WIE DLACZEGO”.

- Domyślałem się, że wchodząc do swojego gabinetu się uśmiechałeś i liczyłeś na przymrużone oko tych, którzy do tego pokoju zachodzili. Nie chciałeś, aby traktowano cię zbyt poważnie?

Chciałem, aby między mną a rozmówcą było dużo powietrza do oddychania, abyśmy nie odczuwali przymusu, że cokolwiek m u s i m y uzyskać. Nie oczekuj ode mnie recept na życie, uniwersalnych wskazówek i rad pomocnych wszędzie i zawsze.

Pełnić rolę psychologa szkolnego, to wpisać się w paradoks. Jesteś pośród nauczycieli, ale nie możesz być nauczycielem, który wie, jaką wiedzę w jego specjalności powinien uczeń opanować. „Psycholog” jest przede wszystkim od empatii, która ma odmienny odcień znaczeniowy niż rozumienie. Przyjmujemy ucznia tak, aby mógł zobaczyć siebie bez lęku

o „wycenę”. Wtedy istnieje szansa, że zechce podjąć korzystne dla siebie zmiany. Czekanie na ową iskrę w uczeniu stanowi sens empatycznej relacji.

Sobie pozostawiałem pomysły na metodykę zmian, którą prezentowałem nastolatкови. Dbałem, by moje sugestie zdominowało słowo „możesz”. Jak ognia unikałem słów „powinieneś”, „powinnaś”, „musisz”. Uważność w tych drobiazgach wynikała z osobistego doświadczenia, jak bardzo te słowa w przeszłości uczniowskiej pomniejszały motywację do zmian. Proponowałem skupić się na maleńkiej części problemu, z podstawową dawką inteligentnego uśmiechu. Mówiłem, że „byka nie bierze się za rogi”.

- Robisz wrażenie tego, który znalazł sposób na tworzenie dobrego kontaktu z potrzebującymi pomocy.

Moja postawa życiowa wobec szukających wsparcia ma źródło w religijności mojej rodziny, w której słowo „miłość” nabrało znaczenia: pomocy, wytrwałości, nadziei na przetrwanie trudności – konfliktów, chorób, braków możliwości zaspokojenia podstawowych potrzeb (finanse, mieszkanie). Mówię o tym, gdyż postawa wobec drugiego człowieka nie nabiera kształtów z powodu studiów psychologicznych. Nie jest ona efektem nabywania wiedzy psychologicznej.

Gdy zaliczałem przedmiot „Metody badań inteligencji dziecka”, osoba prowadząca ćwiczenia nie mogła wyjść z podziwu nad moim stylem nawiązywania kontaktu z trzylatkiem. Powiedziałem, że to nie moja zasługa, a mojej mamy. Prowadziła w domu m.in. przedszkole, widziałem, co ona robi, jak mówi (brzmienie głosu, rytm mowy), jak uśmiecha się, śpiewa, jak wspiera dziecko w jego próbach usamodzielniania się.

- Czyli można powiedzieć, że twym zawodowym handicapem są zasoby, które otrzymałeś w rodzinie. Czy te domowe zadatki,

w postaci szacunku, uważności i niedefiniowanej nadziei, sprawdzają się w kontakcie z osobą dorosłą?

Są fundamentem każdego kontaktu. Moim mistrzem jest profesor Jerzy Strojnowski (1922-1999), autor książki *Psychoterapia* – poradnik dla osób, które chcą się odnaleźć oraz ich terapeutów, wydanej w 1998 roku. Syn oficera Armii Polskiej, żołnierz Armii Krajowej, ojciec wielodzietnej rodziny, pełen naukowej pasji, pracowitości, odwagi. Urodził się we Włodzimierzu Wołyńskim. Był lekarzem psychiatrą, filozofem, psychoterapeutą, założycielem Instytutu Psychologii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

- Możesz wymienić inne osoby, które miały znaczący wpływ na twoje poczucie tożsamości?

Karola Wojtyłę (1920-2004) poznałem mając 19 lat. Zawsze był w moim odbiorze Polakiem, który zaskakująco często klęczał przed Bogiem ukrytym w „małej izdebce”, w tabernakulum. Prostota i pokora. Odwaga.

Ważną postacią stał się rektor mej uczelni. Ksiądz profesor Wincenty Granat (1900-1979) był mężczyzną skupionym, cichym i odważnym. Jedyny w Polsce Rektor, który w latach sześćdziesiątych XX wieku, w czasach barbarzyńskiej wszechmocy Służby Bezpieczeństwa, powołał kilku przedwojennych prawników (m.in. profesora Zdzisława Papierkowskiego) do obrony studentów przed żądaniem karnej relegacji z uczelni po „Marcu 68” pod zarzutem udziału w próbie obalenia ustroju PRL. Otaczam wdzięcznością pamięć o księdzu Rektorze, podziwiam jego troskę o studentów. To było ojcostwo. Wyciągając z kieszeni pod sutanną kopertę zaadresowaną już na moje nazwisko stwierdził, że z pewnością będę pomagał innym ludziom, gdy będę już pracował.

- Czy rozpoznałeś, co najbardziej cię mobilizuje, dynamizuje?

Źródła motywacji są zmienne w zależności od wieku. Jakże odmienne uczucia nas dynamizują w kolejnych fazach życia. Jest jednak coś, co przeżywam od zarania, co we mnie trwa niezmiennie. Erich Fromm nazwał to *mysterium fascinosum et mysterium tremendum* – fascynacja i drżenie.

Teraz najbardziej cenię w sobie, mężczyźnie w starszym wieku, to, że jestem Polakiem. Męskość, której formy kształtowałem w kolejnych fazach życia, sprowadza się do troski o to, czy wystarczająco jestem Polakiem. Wraz z kolejnymi latami rozpoznawałem te osoby i wątki historii ojczyzny, z którymi się utożsamiałem. Tradycja to bukiet kwiatów (często czerwonych) i bólu, który ja biorę w swoje dłonie i niosę w sercu, aby trwała i barwa kwiatów, i jej woń. Tradycji nie można narzucić. Jest wybranym skarbem, za który ponosi się osobistą odpowiedzialność. Podobnie postrzegam sprawę religijności. Potrzebowałem czasu, aby osobistym, wewnętrznym wyborem odkryć znaczenie zasad moralnych czy rytuałów religijnych. Potwierdzenie ich wagi nie jest bajką, jest codziennym sporem, a nawet kłótnią z rzeczywistością.

Cisza i zaduma to moi byli przyjaciele. Niekiedy myślę, że gabinety psychologiczne bywają gabinetami „psychologii kosmetycznej”, jak apteki robiące duży interes na tzw. suplementach.

- *Czyżbyś nie był zwolennikiem psychoterapii?*

Rozmawiam z kolegami, interesują mnie coraz to nowe publikacje z kręgu psychologii współczesnej. Rozmawiam z księżmi i czytam prace współczesnej teologii. Cenię sobie jednak najbardziej samosterowność dopóty, dopóki jest to możliwe. Głęboka starość i dzieciństwo nie dają szans na wewnątrzsterowność.

- *Wiem, że szukasz słów przydatnych do sformułowania dobrego znaczenia niedosytu w życiu duchowym i moralnym człowieka.*

Tak. Niedosyt jest odbiorem sygnału z ciała, że czegoś mu brakuje, że ma tak za mało, iż zagraża to jego istnieniu. Pragnie. Każdy z nas jako noworodek ryczał wniebogłosy, że pragnie. Świat pochylał się nad bezradnym stworzeniem. Pragnienie zmiany niedosytu w stan komfortu następowało dzięki opiekuńczości. Dzieci w przeróżny sposób alarmują swój niedosyt. Opiekunowie przeróżnymi sposobami pomagali zmienić ich niedosyt przez kilkanaście kolejnych lat. Każde dziecko inaczej doświadczało tego procesu. Powstawały przeróżne reakcje na niedosyt, aż przyszedł czas, kiedy dorastający człowiek zaczął się orientować, że niedosyt jest stałym elementem życia, zaś przesytwi towarzyszą niemiłe reakcje fizjologiczne.

Dorastające dziecko może zacząć dostrzegać, że podobnie jest w życiu duchowym. Niedosyt mobilizuje, a przesytw wprowadza ociążałość. Odkrycie satysfakcji z faktu, że można zadbać o swój komfort i radość życia poprzez miarkowanie na skali niedosyt-nadmiar konsumpcji, stać się może sprawą honoru i godności w życiu moralnym. Najważniejsze w moim dążeniu do stworzenia systemu samowychowywania jest umieszczenie dobrego smaku moralnego w sobie samym. Fizycznym nośnikiem duchowości jest ciało i ono zawsze poinformuje nas, że dokonaliśmy nadużycia konsumpcyjnego. Nadmiar wysiłku, organizowania sobie nadmiernej konsumpcji, prowadzi do uzależnień zagrażających życiu. Narkotyki, nadużywanie alkoholu to śmiertelne zagrożenie. Wiele dramatów fizycznych i duchowych stwarzają nadmiernie konsumpcyjne formy współżycia seksualnego.

- Znowu czas na przykłady.

Niesterowany niedosyt czułości sprzyja wczesnemu podejmowaniu współżycia seksualnego, a to zwiększa prawdopodobieństwo zagnieżdżenia się bakterii chlamydia w narządach rodnych dziewczyny. Te bakterie utrudniają zajście

w ciąży i donoszenie ciąży. Zmienność partnerów seksualnych zwiększa prawdopodobieństwo zarażenia się groźną chorobą, jaką jest rak szyjki macicy. Świat medycyny i farmacji zawęży profilaktykę do prezerwatyw i szczepienia kilkunastoletnich dziewcząt szczepionkami redukującymi ryzyko pojawienia się raka szyjki macicy.

Czy znajdziemy sposób na wytworzenie mody, u dziewcząt i u chłopców, na uporządkowanie moralne, w tym przypadku na miarkowanie niedosytu czułości? Nie jestem optymistą. Natomiast u osób zafascynowanych mądrością zasad moralnych pojawia się szansa zmniejszenia prawdopodobieństwa dramatu, jakim zawsze jest choroba dla ciała.

Ciało też „krzyczy”, że zaspokajanie niedosytu czułości przez kontakty homoseksualne zwiększa prawdopodobieństwo dramatycznej konsekwencji: zakażenia ludzkim wirusem niedoboru odporności HIV, wywołującym śmiertelną chorobę – AIDS.

- Czy nie obawiasz się, że twoja koncepcja radości z życia umiarkowanego biegunowo odbiega od panującej aury, w której pojawia się gotowość podjęcia największych wyrzeczeń, aby osiągnąć przyjemność, satysfakcję, medialny sukces, a więc przeżyć ekstazę dotarcia do wyznaczonego celu? Że twoja koncepcja stanowi zaprzeczenie prawa do szczęścia?

Pewnie tak to wygląda, dopóki się nie zauważy, że moja koncepcja zakłada źródło szczęścia w Bogu i w moim ciele i duszy, które od Niego otrzymałem. Chcę szanować życie. Życie jest w moim ciele. Proponuję najczulsze uszanowanie daru od Stwórcy i czuwanie, aby moje indywidualne możliwości płynące z mego ciała były uwielbieniem życia. Moim zadaniem jest uruchomić wszystkie dobre możliwości, które są we mnie. Wy-chować znaczy: uczynić, aby nie były schowane. To ogromne zadanie – źródło głębokiego mego szczęścia. Ono jest zawsze ciężkie od pracy, czuwania,

wytrwałości. Taka jest miłość. Każde inne „szczęście” jest „wydumką” mody i zmiennych okoliczności. Moda powielana i multiplikowana przez środki masowego przekazu jest dużym zagrożeniem dla wolności młodzieńca. Czy media. Kamera i mikrofon mają być koniecznym odbiciem mego „szczęścia”, mych ambicji?

- Wydaje się, że ciało dźwiga także konsekwencje nadużyć moralnych – niepowściągliwość w świecie wartości społecznych i duchowych.

To, co mówisz, przypomniało mi radę starszej siostry, Wandy: „Byłbyś spokojniejszy, gdybyś mniej grzeszył”.

-Psychologiazasygnalizowanaprzezciebietoparadoksalnie „psychologia ciała”.

Powiem więcej: ona jest „psychologią fizjologiczną”. W mojej „koncepcji” utopią jest teza o sterowaniu własnym życiem jedynie rozumem, intelektem, samoświadomością. Żyjemy wśród nieskończonych możliwości rzeczywistych zdarzeń. Instynktowna odpowiedź osoby jest na poziomie neuronalnym szybsza, niż odpowiedź „myślowa”, intelektualna. Korekta, oczywiście, już nie jest instynktowna. Refleksja i wolność wyboru to dynamizmy podstawowe życia moralnego. Życie w ciele, w tym konkretnym ciele jest darem Stwórcy. Poczucie wyjątkowości jest zagwarantowane ciałem i płynie z ciała. Liczenie się z własnym ciałem stwarza szansę na sprzyjające konkretnej osobie wybory, a one okazują się wyborami nie tylko korzystnymi „fizjologicznie”, lecz i moralnie. Gdy grzeszę, odczuwam niepokój, jestem napięty, skacze mi ciśnienie. Ciało płaci za przekroczenie granic określonej kultury. Gdy jestem u szczytu własnych możliwości fizjologicznych związanych z myśleniem, jestem uniesiony, uskrzydłony – ciało jest elastyczne, dotlenione

(oddycham pełną piersią) – serce cudownie rytmicznie bije. Jestem szczęśliwy.

Szczęście całą swoją głębią sprzyja ciału. Drogi do poczucia szczęścia i momenty szczęścia mają ekwiwalent fizjologiczny. Poczucie szczęścia sprzyja ciału. Stwórca określa w swym świętym podarunku ciała możliwości fizjologiczne Osoby, które są bazą intelektu i duchowości.

- A co z duszą, drogi Jerzy?

Do czynionej refleksji nie potrafię jeszcze dołączyć terminu „dusza”. Otrzymałem ją w Stwórczym a Bożym „Ruah”. Złotą, świetlistą nitką jestem od zawsze „podwiązany” do Stwórcy. Chrzest jest publicznym zobowiązaniem się rodziców do wzbudzenia w dziecku przekonania, że z duszą i ciałem przynależy on do Boga. Podczas Chrztu świętego otrzymałem Patrona – otrzymałem imię. Za moje ciało i duszę wzięli publicznie odpowiedzialność Rodzice. To oni zakorzenili mnie w moim indywidualnym cielesnym i w swojej kulturze religijnej. Wszystko co robili, zapewniało przetrwanie w pierwszych fazach istnienia. Kilkunastoletnia osoba przejmując prawdziwie wartości rodziców jedynie przez fascynację tym, co prezentują rodzice. Jest to możliwe tylko przez interioryzację – a ta jest d o b r o w o l n a.

Około 18 roku życia pojawia się w mózgu neocortex (węchomózgowie), które jest szansą na sterowanie życiem z uwzględnieniem wartości moralnych. Zaczyna się prawdziwie godnościowa faza życia, przez każdą osobę rozgrywana odmiennie. Decyzje i wybory moralne (dochodzenie do nich) to sprawa honoru osobistego – wolności wyboru.

Zmaganie osoby z możliwościami i okolicznościami życia, których żaden człowiek nie jest w stanie zaplanować, to kapitalne zadanie. Jednak nie na całe życie. Moje życie przebiega w rytmie faz „fizjologicznych”. Pełnia możliwości duchowych jest określona mózgiem i stylem wykorzystywania

swoich możliwości zakorzenionych we własnym ciele – ciele jedynym i nieporównywalnym w swych możliwościach lub niemożliwościach.

Zakończenie

Mam 75 lat. Ciało ze swą duszą chcę teraz ODDAĆ BOGU z serdeczną wdzięcznością. Zrobiłem wszystko, co mogłem. Nie wiem i nigdy tego nie zrozumieję, w jakim celu zostałem powołany do tego konkretnego i niepowtarzalnego życia, które dobiega końca, ale wiem, że to życie było dane i zadane przez Stwórcę. Byłem wolny. Wybierałem. Pozwoliłem się uwieść intuicją bycia dzieckiem, „dziedzicem” Boga samego. Walczyłem z całego serca o osobistą jakość i wyrazistość na mapie „miłość” – zachwycony darem, który wypełniłem dynamiką i radością życia. Powołał mnie Stwórca wolnym człowiekiem, czyniąc mi dar i szansę smakowania Jego łaski, Miłość. To błogosławiony ks. Michał Sopoćko pisał: „Bóg kocha grzeszników”.

Coraz mniej mogę. Jestem mniej sprawny. Stwórca odejmując mi słuch, wzrok, mięśnie, możliwości oddechowe, mózgowę, jakby podszeptował: „... już, już, zaraz, będziesz ze Mną, nie lękaj się, czekam. Dopełnij swym wyborem zaufanie do Mnie – w moją Miłość. Przyjdź. Oddaj Mi siebie”.

Pragnąłem budować wieżę, dzwonnice, latarnię morską. Czy przyczyniłem się do powiększania przestrzeni Światła? Żyjąc, myślałem o ŻYCIU.

Z trzech metaforycznie wymienionych na początku istot („rozważny” żółw, „błyskotliwy” skoczek w dal i wzwyczaj, konik polny, i koń rasy sokólskiej) najbardziej mnie inspiruje metafora konia. Bywałem rozważny, bywałem błyskotliwy, jednak najbardziej i najczęściej byłem podobny do pracowitego, łagodnego, ale silnego konia rasy sokólskiej. Widziałem wielokrotnie, jak dwa konie wczesnym rankiem ciągnęły pług podczas orania pola pod zasiew. Widziałem, jak dwa

silne konie tej rasy ciągnęły z pola do stodoły wóz załadowany zżętym zbożem. Widziałem, z jaką wytrzymałością brnęły w błocie albo przez śnieżne zaspy. Konie rasy sokólskiej to wspaniali przyjaciele człowieka. Jednak to szlachetne zwierzę prezentowało się najpiękniej podczas relaksu na zielonej łące. Kiedy ten dorodny koń kładzie się na trawie, a potem przez grzbiet przewraca się z boku na bok, aby po chwili zerwać się na cztery nogi i biegnie jak szalony ze szczęścia na kraniec zagrody, dookoła rozlega się cudowny radosny tętent jego kopyt i zapewniam was, że widziałem, jak ta piękna istota wznosiła się ku niebu. Naprawdę widziałem, jak rosły mu i unosiły go anielskie skrzydła, wprost do największego i najpiękniejszego miasta wszechświata.